

JANINA SMOLIŃSKA ur. 1919; Moskwa

Tytuł fragmentu relacji	Mój tatuś był Polakiem, mama Rosjanką
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, rodzina, Rosja carska, rewolucja październikowa, Moskwa, prawosławie, prawosławni, tradycje prawosławne, pogrzeb prawosławny

Mój tatuś był Polakiem, mama Rosjanką

Ja jestem stałą Lublinianką od roku 1923. Do Lublina przybyłam wraz z moimi rodzicami z Moskwy mając niepełne cztery lata. Urodziłam się w małżeństwie mieszanym narodowościowo. Mój tatuś był Polakiem, mama Rosjanką. Mama pochodziła z rodziny o ciekawych tradycjach. Mój dziadzius za carskich czasów był wysokiej rangi urzędnikiem na poczcie. Kobiety wówczas nie pracowały, babcia zajmowała się domem i rodziną. Mama miała liczne rodzeństwo. Było ich sześcioro. Wszyscy byli wykształceni. Mama ukończyła gimnazjum moskiewskie bardzo dobrze, z wysoką oceną. Car Mikołaj osobiście mamie przypinał złoty medal. Medal, nie dyplom. Mama ukończyła jeszcze nadprogramowo klasę ósmą zwaną "pedagogiczną". Następnie została pracownikiem Głównego Urzędu Pocztowego w Moskwie.

Tatuś pochodził z Lubelszczyzny, a konkretnie ze wsi Wzgórze koło Bełżyc. Jego rodzice byli rolnikami. Tatuś, po skończeniu Szkoły Rzemieślniczej im. Syroczyńskiego, rozpoczął naukę w Wyższej Szkole Walberga w Warszawie. Aby się jednak utrzymać na studiach, podjął pracę w Głównym Urzędzie Pocztowym. W chwili wybuchu I wojny światowej cały Urząd został ewakuowany do Moskwy. Tam tatuś dalej pracował i kontynuował naukę w tamtejszej wyższej uczelni. Studiował architekturę w budownictwie. Ukończył studia uzyskując dyplom inżyniera architekta. Nie pamiętam już w tej chwili dokładnie, czy to już było po wybuchu rewolucji czy jakoś tak w przeddzień rewolucji, w każdym razie w tamtym okresie. Tam się rodzice zapoznali, właśnie w Moskwie i tam zrodziła się wielka miłość, romantyczna miłość. Z czasem młodzi postanowili pobrać się, powiadamiając rodziców mamy, którzy się jednak temu bardzo sprzeciwili. Szczególnie dziadzius odniósł się do tej sprawy z ogromną dezaprobatą. Ażeby ją uwypuklić bardziej i podkreślić swoje stanowisko mówił: "za Polaczyszszszka nikagda" [za Polaka - nigdy]. Celowo tak akcentował "sz", chcąc w ten sposób dać do zrozumienia tacie, jak bardzo Rosjanie - jeszcze Ci sprzed I wojny światowej - nie lubili polskiej mowy. Mówili, że jest sycząca jak głos żmii.

Dziadziowie mieli piękne mieszkanie w Moskwie przy Dworcu Głównym. Każdy miał swój pokój, więc moja mama w ramach protestu po powrocie z pracy zamykała się w tym swoim pokoju i udawała głodówkę. Dlaczego ja mówię udawała? Oczywiście, że udawała, dlatego że zanim

wróciła do domu, to w stołówce pocztowej zjadała obiad. Babcia chodziła, płakała i do dziadziusia ze łzami, z prośbą ogromną "Semion, ustąp, ona nie przychodzi do kuchni na posiłek, ona z głodu umrze, ona do nikogo nie odzywa się". No, w końcu jakoś dziadziuś zmięknął i zgodził się na ten ślub. Ale zawsze mówił "za Polacyszka" i jeszcze tak akcentował "sz".

Dla naszej rodziny tak szczęśliwie się ułożyło, że tatuś pełnił funkcję kierownika ambulansu pocztowego i w związku z tym wyjeżdżał służbowo czasem na długo i daleko od Moskwy, bo na przykład na Krym albo w kierunku Syberii. Podróż trwała 9 dni, a czym dalej od Moskwy tym większe były możliwości zakupienia żywności - oczywiście z przemytu. Tatuś nawiązał kontakty z kolejarzami i ze strażnikami, którzy strzegli przejść przy dworcach i stacjach kolejowych i w taki sposób jakimiś określonymi drogami udawało mu się wynieść towar z ambulansu pocztowego do domu. Przemycano się wszystko, co potrzebne było do zaspokojenia głodu: mąkę, kaszę, jaja, różne inne produkty żywnościowe. Tej przemycanej żywności wystarczało nie tylko dla naszej rodziny ale od czasu do czasu zajrzał ktoś z sąsiadów z prośbą, żeby go zaopatrzyć. Były sytuacje, kiedy mój tato odkładał swój urzędowy mundur, przywdziewał zwykłe robocze ubranie i zaprzęgając się w duże sanki, wędrował osiem, dziesięć kilometrów poza Moskwę, gdzie siekierą rąbał większe czy mniejsze kłoc drewna, które ładował na sanki i znów zaprzęgał się do tej zdobyczy. Z osobistych przeżyć pamiętam, że na przykład w kolejce po chleb trzeba było stać niemal całą dobę. Pełniło się więc ten dyżur na zmiany: w nocy - dorośli a w dzień, kiedy dorośli musieli iść do pracy lub do innych obowiązków - dzieci. Żywność była wydzielana na kartki: chleb, mąka, kasza, sacharyna, olej, a wszystko w maleńkich ilościach. Naftę - 1/4 litra na miesiąc - dostawały tylko te rodziny, które miały maleńkie dzieci, wymagające opieki w nocy.

W czasie naszego pobytu w Moskwie przeżywało się różne momenty, raczej więcej gorzkich niż przyjemnych. Prawdziwą tragedią była epidemia tyfusu plamistego i cholery, która pojawiła się w pierwszych latach porewolucyjnych i pochłonęła mnóstwo ofiar. Nie ominęła też naszej rodziny. Spośród ośmiu osób - sześć chorowało. Rodzeństwo mamy zwalczyło tę chorobę. Dziadkowie nie przeżyli. Pochówek odbywał się w nocy po kryjomu, żeby się nie wydało. W tradycji prawosławnych zmarły aż do momentu opuszczenia zwłok do grobu leżał w otwartej trumnie przez trzy dni w domu. W trakcie wyprowadzenia z domu do cerkwi lub do kaplicy cmentarnej trumna ze zwłokami była cały czas otwarta. Przez cały czas trwania tych czynności chór cerkiewny śpiewał żałobne pieśni aż do miejsca pochówku. Nad grobem modlitwy prowadził batiuszka w towarzystwie chóru, kropił zmarłego święconą wodą i dopiero wtedy zakładało się wieko i opuszczała się trumnę do grobu. Przez cały czas towarzyszył temu śpiew chóru cerkiewnego aż do momentu, kiedy grób został zamknięty, a potem następowała jego dekoracja. Każdy z uczestników pogrzebu miał w ręku zapaloną dużą woskową świecę, a batiuszka, a wraz z nim służba cerkiewna, która opiekowała się krzyżem i żałobnymi chorągwiemi, opuszczała cmentarz, kiedy trumna została już na tyle zabezpieczona, że nie było jej widać.

Po śmierci dziadziów właściwie mama została głową rodziny. Rodzeństwo mamy: siostra i dwaj starsi bracia, to była dorastająca młodzież, ale najmłodszy brat miał wtedy tylko cztery lata. Sytuacja była bardzo trudna, pracował tylko tatuś. Jedna urzędnicza pensja nie wystarczała na taką gromadkę. Wówczas zaczął się pojawiać w dyskusjach rodzinnych temat powrotu do Polski. Z biegiem czasu sprawa stawała się bardziej nagląca, bo Polski Komitet Emigrantów w Moskwie zaczął organizować oficjalnie transporty do kraju. Rodzice zdecydowali się wyjechać ostatnim transportem. Przyjechaliśmy do Lublina jesienią 1923 roku. Zatrzymaliśmy się u rodziny taty we wsi Wzgórze. Mój tatuś w tym czasie usilnie szukał wolnego mieszkania i pracy. Praca znalazła się stosunkowo szybko, tatuś został zaangażowany w Dyrekcji Poczty. Wówczas Dyrekcja Poczty mieściła się przy ulicy Chopina. Tam został zatrudniony od razu w charakterze wyższego

urzędnika, wtedy to się mówiło, że asystent 9 grupy, szczebel taki to a taki. A im wyższy szczebel, tym wyższe wynagrodzenie. Mama oczywiście nie pracowała, bo wtedy nie było w zwyczaju, żeby kobiety pracowały. Nawet superwykształcone. Zajmowały się domem, mężem, dziećmi. Dostaliśmy wreszcie mieszkanie. Były różne możliwości i tę jedną jedyną, która się trafiła, tatuś wykorzystał. Zamieszkaliśmy przy ulicy Leśnej 11. Ale nie na długo. Tam były bardzo trudne warunki mieszkaniowe. My początkowo mieliśmy na parterze taki jeden duży pokój, jedna izba. Tatuś sprowadził gosposię, żeby mama mogła się przyzwoicie domem zajmować. Ciasnotę mieliśmy straszną w tym pokoju, bo i z gosposią to było krępujące. Gosposia oczywiście zajmowała się kuchnią, zakupami, sprzątaniami, praniem, bo prało się na tarze, na balii. A woda była w studni w podwórku.

Data i miejsce nagrania	2002-12-01, Lublin
Rozmawiał/a	Aneta Ogrodnik
Transkrypcja	Marta Grudzińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"